ROZMAITOŚCI.

Dnia 14. Września. № 37. Roku 1859.

Podróże i odkrycia

w roku upłynionym 1858.

Od lat tysiąca tysiąców co ludzie na świecie, zdawałoby się że już nie ma zakątka za ziemi, któregoby nie znali; a przecież rok za rokiem wystają nowe wyspy, nie widome potąd rozjaśniają się kraje, nawet lądy całe, co przedtem ledwo z ościenia znajome były, ścielą się otworem. Dzięki opiece rządów, i usiłowaniu uczonych towarzystw, zrywają się mężowie silnej woli i ducha dzielnego, którzy w myśl im zapuszczają światło wiedzy w światy niedostępne i odkrywają po Afrykach, Australiach, Indochinach, po oceanach i morzach podbiegunowych nowe zdobycze, nam ku nauce i korzyści, sobie na chwałę. Wdzięczna pamięć poświęca ich wspomieniu słów kilka.

Przodem niech idą, co roku upłynionego w trudach ulegli.

Pani *Ida Pfeifer*, jedna z niepoślednich lustratorów kuli ziemskiej, dwakroć okrążała ziemię, a czterykroć dalekie podróże przebyła. Zwiedzała Palestynę i północ Europy jeszcze w roku 1842, a ciekawość i żądza wiedzy wywiodły ją w roku 1846. w okół przylądka Horn drogą magelańską, w r. 1851 zaś w stronę przeciwną po za przylądek Dobrej-nadziei, w końcu po raz czwarty wprowadziły na Madagaskarę, na dwór królowy Ranavolo. Ślizkie jak wszędzie podwoje pańskie, nabawiły ją podejźrzenia i z rozkazu tej samej monarchini, niegdyś łaskawej, musiała niezwłocznie opuszczać wyspę, a na domiar nieszczęścia, wracać obrzeżem morza, okolicą błotną, miazmami gnoju zatrutą, z której jeszcze żaden z podróżnych europejskich bez febry zgniłej niewyszedł. Dotknięta zarazą i ostatnią podróżą z powrotem do Europy znękana, zgasła ofiarą swojej pięknej namiętności dnia 7. października 1858. w Wiedniu.

Umarł także ale już w bieżącym roku dnia 27. lutego, dzielny sardyński podróżny *Brun-Rollet* w Chartumie w Afryce, na pograniczu między Nubią i Abisynią. W uczonej swej podróży przetrząsł górną okolicę Białej rzeki, rozpoznał jezioro No i Bahr-Keilah czyli Misselad, pod stopniem 12 szerokości, kształcące nawód zachodni Nilu. Zostało po nim dzieło „*Le Nil Blanc et le Sudan*“ wydane w Paryżu 1855. roku.

Od roku blisko, może i dłużej obnosili się z pogłoską póki się nie sprawdziła śmierć *Adolfa Schlaginweit*, niepospolitego badacza natury w środkowej Azyi. Padł ofiarą zapędu i ciekawości swojej w Tibecie, w pobliżu Yarkandy gdy go popadli powstańcy chińscy, maiac go w podejźrzeniu, że jest szpiegiem angielskim.

O tym samym prawie czasie zginął i drugi a niemniej znakomity zwieściciel osobliwości afrykańskich Dr. *Edward Vogel*, który częścią sam, częścią w towarzystwie z drugimi przetrząsł okolice jeziora Cad, kraje Burnu, Baguini i ziemię Wadai leżącą na zachód od Darfuru. Tu w Wadai zastygła wieść o nim, pogłoska tylko chodziła, że sułtan wadajski kazał go ściąć za zniewagę, iż się ośmielił wyłazić na górę ich bóstwu poświęconą. Krewni i przyjaciele pocieszają się jeszcze nadzieją, że może tylko w więzieniu siedzi; ale więzienia u tych ludów nie są tak szczelne, by przemyślny i obrotny Europejczyk z nich dotąd wydostać się nie mógł. Sprawdzą to wszystko bliższe poszukiwania, bo na zaletę

Europy to jeszcze godzi się zapisać, że nie tylko pragnie rozprzestrzenienia wiadomości, ale stara się oraz wdzięcznym pomnikiem uczcić pamięć tych, którzy w zamiłowaniu nauk siebie poświęcają, i dla tego troskliwie śledzi ich losów, ich przygody zapisuje, i z niepamięci wyrywa.

To samo też uczucie wespół z przywiązaniem i miłością małżeńską powoduje najbardziej panią Franklin, że szuka pewności, co spotkać mogło jej męża Sir *Johna Franklin*, który w wyprawie przed kilku laty pod biegun północny, z całą załogą zaginął bez wieści. Jeszcze i w roku przeszłym wyprawiła yacht „*Fox*" pod komendą kapitana Mac Clintoch na zwiady — a śmiały żeglarz ten postanowił drogą na Beechey-wyspy wprost zdążać ku polowi, przebić się cieśniną Wilhelmland, i zawinąć na rzekę Fish-River. Czyli z tej wyprawy zasięgnie pani Franklin więcej pewności, ręczyć trudno; ale zjednoczone Stany gotują od kilku miesięcy nową wyprawę na morza podbiegunowe, i po nich można by się więcej spodziewać. Bynajmniej nie zniechęca Amerykanów to, iż przed pięcią — sześcią laty kapitan M'Clure im dowodził, że północno-zachodni przejazd żadnej nie przyniesie korzyści; upatrują w tem, jak przy wszystkich wielkich poszukiwaniach tylko podrzędne przygrawki umysłowe jak wszędzie, gdzie jeszcze dostatecznej pewności nie ma. Bo chociaż Dr. Kane ręczy za przejście otwarte w północnej Grenlandyi, zaprzecza mu przecież Dan Rinck, słusznie więc Amerykanie pozostawiają pole wywodu prawdy śmielszemu nad nich żeglarzowi któremu. Być może, że główna ta zaleta przypadnie Rossyi. Petersburgskie geograficzne Towarzystwo wyprawiło kilku zręcznych badaczów na rozpatrzenie tych ziem odludnych, a uczony *Dr. Nordenskiold* z Helsingfordu dokonał polecenia w krótkim czasie, że puściwszy się morzem z finskiego portu Hamerfest rozeznał ostatecznie właściwości Spitzbergu. Odkrył tu w tych niegościnnych stronach pokłady węgla kamiennego, a ludziom co wychodzą na łowy psów i koni morskich, wykazał łożyska gdzie im na wiele lat jeszcze pomyślna zdobycz przykwieta. Nordenskiold wdrapał się także i opatrzył górę Snechättan.

O tym samym niemal czasie kapitan *Palliser* z marynarki angielskiej, przebiegając północne strony Ameryki angielskiej, doliną po rzekę Bow, odkrył przejście cieśninami gór skalistych z Kanady do wysp Quadra czyli Vancouver, i tem samem dalej do Kalifornii co dla tak przedsiebierczego jak Anglicy ludu, korzyścią może być niezmierną.

W południowej zaś Ameryce Francuz jeden, niejaki *Dr. Plassard* w Ciudad Bolivar osiadły, przebiegł Guyanę należącą do Venezueli i odkrył na południe od Orinoco w kierunku ku Yuruari pokłady złota, a oszczędził przez to poszukiwaczom kosztu i trudów w przeprawie za międzymorze panamskie.

Ożywiony tylu odkryciami przemysł mieszkańców brazylijskich, zachęcił w Rio Janeirze pp. *Capanema*, *Lagos i Gonzalwa Diaz*, że wygotowali wyprawę w głąb rozległych krajów Brazylii, które acz w obręb państwa wpisane, nikt ich potąd jeszcze nie zna, i tylko w ręku samej dziczy tubylców indyańskich zostają. Wyprawa składa się z ludzi światłych i bierze w ochronie eskortę wojskową z sobą.

W chwili gdy się nowe poszukiwania sposobią, inni wracają z wyprawy, zapowiadając plon nie mały w dziedzinie nauk. Z przylądka Sidnej i Nowej Zelandyi wraca *Dr. Schmarda* niepośledni badacz przyrody z Austryi rodem; wracają także znani naturaliści DDr. *Tschudi i Friesach* z exkursyi swej po Ameryce południowej a ze zbiorem nie mało osobliwości, które nam dzienniki zapowiedziały. — Oczekiwany jest także nie daleki powrót z objazdu w około świata wyprawionych statków marynarki austryackiej, korwety „Karolina" i fregaty „Nowara". Wysłana w zamiarach szczero naukowych, zapowiada się znacznym zasiłkiem skarbów umiejętności. Zwiedza wprawdzie same tylko znajome przystanie, bo nie mając w poleceniu poszukiwać odkrycia ziem nowych, zostawia to czynnej zwinności żeglarskich od dawna narodów. (Właśnie już z powrotem, powitał Nowarę Triest.)

Anglicy z Francuzami najbardziej w tej mierze przewodzą.

I tak upłynionego roku odkrył kapitan z marynarki angielskiej *Cubius* nową grupę wysep na południowym oceanie atlantyckim, jadąc zwyczajną drogą australskich żeglarzy. Wprawdzie odkrycia jego drudzy jeszcze nie sprawdzili, ale dana jest tem samem ponęta do dalszego poszukiwania, bo w ciekawości i sprawdzaniu tego co drugim zaszczyt przynosi, ludzie najwytrwalsi. Temu też to podo-

bno przypisać i ów popęd dzisiejszy ku środkowej Afryce, jeżli pominiemy to że Anglii przemysł handlowy wszystko łoży na wyśledzenie dróg i krajów nowych.

Już-to centralna Afryka dziś wszystkich poszukiwaczów ciągnie jak magnes. Od północy i południa, od wschodu i zachodu naciskają zewsząd exploratory, i nie można im odmówić z wielu miar szczęścia. Znany nam już z dawniejszego opowiadania *Liwingston* (Ob. N.1.Roz. z r. 1858.) przebiega w tej chwili na nowo te kraje, które przed czasu dwuleciem odkrył od St. Paul de Loauda do Quilimany. Zaopatrzony łaską rządu w potrzeby i stosowne instrumenta, puścił się roku zeszłego w górę rzeką Zambesą, statek swój przezwał „Ma-Robert", co w języku zambesańskich indów ma znaczyć „Matka" czyli „Żona Roberta" a to z umysłu, bo tamtejsi dzicy z dawna szanowali żonę Liwingstona. Popiera odkrycia tamtejsze paropływ angielski „The Rain-Bow" lubo w innym kierunku. Dnia 6. stycznia puścił się z Bonny w Zatokę Benin i wdłuż Nigru rozpoznaje obrzeża.

Ale najlepiej poradził sobie *Laslo Magyar* (Władysław Węgier), naturalizowany obywatel brazylijski, rodem z Terespola. Chcąc przedrzeć tajemnice środkowej Afryki, żeni się z królewną państwa murzyńskiego Bihe w górnej Guinei, zostaje wodzem wojsk teścia swego, i pod jego powagą a przy pomocy swych podkomendnych zwiedza cały okręg w okół stolicy. Zamyśla także dzieci swe zaprawić do tyla, by z czasem przysłużyć się mogli wiadomościami swemi do rozprzestrzenienia znajomości Afryki centralnej.

Inne nieznane potąd wybrzeża ponad rzekę Gabon zwiedza w tej porze *Jules Bravouerec*, komendant korwety „Oise", a Szwed *Andersen* przebiega za missionarzami Rathem i Hahnem okolice Ovampo w zachodniej Afryce a w południowej stronie od Bengueli i w kierunku rzeki Kunene. Ciekawe są jego zoologiczne spostrzeżenia i osobiste przygody, które acz nie tchną szczerą umiejętnością, zawsze są przyczynkiem w znajomości tej części świata.

Już więcej i wcale więcej zawdzięcza umiejętność poszukiwaniom kapitana *Burton* i porucznika *Speke*, dwóch angielskich oficerów, którzy roku zeszłego dotarli do jeziora Udżidżi w wschodnio południowej stronie Afryki, okrążyli je i przemierzyli geometrycznie. Leży między 3. a 8. stopniem szerokości południowej i staje za dowód, że środkowa Afryka mnogie liczy zbiorowiska wód jeziornych, na przekór tym co utrzymują, że między ekwatorem a 12. stopniem szerokości południowej obszerne jakieś ma się rozlegać morze. — Właśnie ponad te jeziora podróżuje teraz francuski missyonarz Ojciec *Leo des Avanchers*, za nim puścił się Niemiec *Albert Roscher*; obadwa sprawdzają odkrycia angielskich wojażerów i sami nowych przyczyniają widoków. Zamiarem obudwu jest przedrzeć się w sam punkt centralny Afryki.

W chwili gdy ci pracują, rozjaśnia się coraz wschód Afryki. *Pedro de Gamitto*, gubernator twierdz portugalskich Tete i Sena nad Zambesą, tam którędy i Liwingston się krząta, wydał bardzo zajmujące opisanie południowo-wschodnich krajów afrykańskich, a teraz wyprawia się w głąb krajów przyległych mierząc ku środkowi Afryki. Zgoła tę wschodnią Afrykę niebawem przetrząsą uczeni. *Massaga*, misyonarz sardyński, lustruje państwa abisyńskie; na to samo godzi i Francuz *Vayssière*, a metą dla nich i wielu, wielu innych są źródła Nilu, do których się żaden przebrać nie zdołał. Że są i być muszą to pewna, ale stoją gdzieś za skałami, których uroki strzegą. Nie przeliczyć tych wszystkich co się puszczali i zapuszczają teraz, a zdaje się, mówi autor, że jeżeli po koniec bieżącego wieku bieg Nilu nie będzie tyle znanym co bieg Renu albo Sekwany, tedy w tem nie wina uczonych, tylko że źródła te są zaklęte jak zamek jaki, dokąd droga zapadła. Taborami suną uczeni to społem to zosobna, rok za rokiem od lat niepamiętnych podbiegają ciekawi pod góry księżycze, a potąd jeszcze nie przedarli ciemniczej zasłony. W tej chwili pasują się z wodami Nilu pp. *Frith i Windham*; spodziewali się z końcem Maja roku bieżącego dopchać do źródeł na statku żelaznym, co go umyślnie na to przysposobili, ale dotąd nic jeszcze o nich nie słychać. Czy zginęli? czy żyją? powiedzą pp. *Thomassy i Miani*, którzy się na zwiady i w poszukiwania za nimi puścili. Miani osobliwie, bo od lat dziesięciu, odkąd z wychodźtwem Wenecyę opuścił, a osiadł w Egipcie, sposobił się w wyprawę zanilską. Ciekawy, uczony a przytem roztropny, zebrał co tylko można było wywiedzieć się i z książek i z wieści u ludu, rozpoznał i porównał wszystko, a ztąd powziął takie przekonanie, że Nil równie jak wszystkie Zansybarskie

rzeki spólne mają źródło, a to pod ekwatorem u stóp gór wulkanicznych z wielkiego jeziora. Jeziorzysko to ma się nazywać Dżebel-Redżief, co wyraża właściwość jego że co roku przybiera z napływu roztopniałych śnieżnic górskich, przepełnione podsyca wodami swemi wychodzące z siebie strumienie i rzeki tak że zatapiają niziny, którędy bieżą. Że w czasie takiej powodzi trudno bieg Nilu rozpoznać, więc także trudno i wtedy puszczać się w górę; zaś, gdy wody opadną, wtedy koryto Nilu tak jest szczupłe a przepierzone skał urwiskami, że do jeziorzyska nie podobna się dobrać. Miani zatem obmyślił inną drogę, na Zandzibar, kołując od południa w górę, a nie od północnej strony, którędy Nil płynie. Liczy odstępu na 200 mil francuskich lądem do jeziora Dżebel, a gdy stanie nad nim, wyczeka pory ulewnej i spuści się z łatwością Nilem w niziny egipskie, wysokość wód wezbranych unosząc go snadnie ponad wyżyny skaliste.

Plan całej jego podróży tak dokładnie jest obmyślony, że francuskie towarzystwo geograficzne nie wahało się przyjąć i pochwalić postanowienie Mianiego, a minister spraw zewnętrznych wziąwszy go pod swoją protekcyę rozkazał mu z arsenałów dostarczyć zbroi i amunicyi i wyposażyć go w co można jak najlepiej. Opatrzył cały orszak jego w strzelbę Minié co niesie na 1000 metrów, dodał pałaszów, których i za bagnet używać można, nadto kazał obdzielić ich w maski druciane różnego rodzaju, jedne chronne od owadu i much jadowitych, inne od pocisku nieprzyjaciół, inne jeszcze straszliwe, ażeby na przypadek dzicz płoszyć. — Wyprawa Mianiego będzie się składała z licznego orszaku; pierwszy oddział wyruszył już w Marcu z Kahiry pod wodzą rozmiłowanego w podróżach Węgra, młodego barona *Aspold*, u którego, jak raport mówi, cenniejszą jest sława zwolennika umiejętności, niż świetne stanowisko socyalne, jakie mu gotował świetny ród i majątek wielki. Wszyscy mają się zjechać w Corrusko, ztąd ruszy oddział jeden na Chartum korytem Nilu, dokąd się uda, a zdaniem Mianiego dojdzie do 3. stopnia szerokości. Drugi oddział pod wodzą samego pana Miani rusza w lewo przez puszczę nad morze czerwone, wsiada na okręt w Suakimie, i drogą na Aden przybywa do Zandżibaru. Tu holuje rzekami w górę, którędy chodzili misyonarze Krapf, Eshard i Rebmann na sto mil w głąb, a ztąd dalej na los szczęścia, i za tem co w umyśle Mianiemu przyświeca, zdążać będą do mety.

Szczęśliwiej się zapowiadają wycieczki w głąb Afryki od strony północnej, od Algieru i z posiadłości francuskich wychodzące. Podróżnym ztąd towarzyszy, pewien odcień potęgi i mocy, z której Francya się rozsławiła, przytem z miejscowością lepiej tu można się obeznać i łatwiej także i przewodnika znaleźć. Puszcza się teraz z Algieru *Mac Carthy*, syn znanego w Europie geografa, i ma zamiar iść najprzód ku Tumbuktowi, ztąd zwrócić na lewo w głąb, przebyć Laghonat i Goleah, potem okołem przedrzeć się na wschód, omijając te strony, gdzie teraz gości arabski prorok nowy co Mahometanów powzburzał, i dostać się na Ghadames, Ghat nad Cad jezioro. Program-to podróży śmiały; by nie był do wykonania, rzec nie możemy, bo Mac Carthy ośm lat przepędził w Algierze, na zbieraniu tego, co rozumiał że mu posłużyć może. Ma więc, na czem wielu innym zbywa, zasób doświadczeń, naukę, odwagę i ochotę, tylko mu szczęścia życzyć. — A wybierają się z Algieru także w głąb Afryki teraz kapitan *Magnan*, *Baron Kraft*, *i Yussuf ben Gallabi*.

Nie spuszczają także uczeni z oka i starej Azyi, i wielu podróżnych przebiega dziś obszary jej w różnym kierunku. Akademia wiedeńska wyprawiła p. *Kreil* do Turcyi azyatyckiej; p. *Rey* zwiedza przeoczane potąd okolice Syryi i Palestyny; inni archeologowie lustrują Arabię. Liczne misye wyprawia ministeryum francuskie w głąb Kochinchiny, a Rossya nic nie szczędzi ażeby Chorozan i środkową Azyę bliżej rozpoznać.

Jedna z takich misyi wiadoma nam jest bliżej; podajemy ją, pewni uprzejmej wziętości iż pochodzi z ust oficera polaka, i jego własnemi słowy streszczona.

(C. d. n.)

ZBIORY ARCHIWALNE.

Dokument do historyi klasztoru Karmelitańskiego we Lwowie N. IV.

Lwów, R. 1444, 1612 i 1622.

Magistrat miasta Lwowa pozwala OO. Karmelitom trzewiczkowym zakupywać pod pewnemi warunkami sąsiednie domy i grunta dla zbudowania kościoła i klasztoru.

(Dalszy ciąg. Ob. Nr. 33. 34. 35. 36. Rozmaitości.)

Hoc etiam potissimum praecustoditur ne longitudinem figulinae plateae simili longitudine | plateae latae Religiosi Patres exaequent, nec figuram quadri vsurpent, sed vnica tantum domo plateae lateae *Koralowska* dicta (cuius emptio Religiosis patribus Fr(atr)ibus Carmelitis ob faciliorem et commodiorem aditum et reditum accessum et recessum alias *dla wiazdu y wyiazdu* conceditur) contenti, reliquae domus latae plateae, si quas aliquando quouis siue emptionis | siue donationis siue legati titulo habere Religiosi P(at)res poterunt, nulli demollitioni, et in aream Ecclesiae aut Monasterii conuersioni subiacebunt, sed vel in vsus Religiosorum P(at)rum priuatos ex censu annuo cedent, vel etiam Caedem vendi emiq(ue) iuxta iura Ciuitatis poterunt. Secunda. Longitudo praetacta modo praemisso emensurata a domo Stanislai Czapayko Braxatoris versus Basilicam Ruthenorum sese protendere, non vero Ciuitatem aut portam ac muros ciuiles prospectare debebit. Tercia. Locus et areae per demollitionem coemptarum domorum in planam teram redactae, pro extruenda Ecclesia sub titulo Visitationis Beatissimae Virginis Mariae atq(ue) Monasterio non vero | pro statuendis aliquibus aliis prophanis aedificiis cedent. Quarta. Quoniam domus *Koralowska* dicta in platea lata iacens, pro vsu Religiosorum P(at)rum ob commodiorem ad Monasterium ingressum et egressum, emptionis titulo acquisita, latitudine sua alias vicinales domos excedit, et extra ordinem rectum in publicam viam sese exponit: ideo | haec eadem domus reflecti, restringi, retroq(ue) referri, aliisiq(ue) vicinorum domibus per rectam lineam ex ordine debito cum aliis plateae domibus coaequari debet. Quinta. Ut nonmagis longe, late, nec circumferentialiter pro Ecclesia et Monasterio construendis locum

Tego także jak najbardziej przestrzegać należy, ażeby Ojcowie zakonnicy nie zajęli równej długości z ulicy szerokiej jak z ulicy garnczarskiej, ani też rościli sobie formy czworoboku, lecz tylko poprzestali na jedynym domie ulicy szerokiej zwanym Koralowskim (który dozwala się kupić Ojcom Karmelitom dla łatwiejszego i dogodniejszego przystępu i wychodu, inaczej dla wjazdu i wyjazdu); inne zaś domy ulicy szerokiej jeżliby Ojcowie zakonnicy zdołali nabyć jakie kiedykolwiek jakimbądź tytułem kupna, darowizny lub zapisu, niemogą być burzone i obracane na grunt kościoła lub klasztoru, lecz albo służyć mają do prywatnego użytku Ojców zakonników z uwolnieniem od podatku, albo też mogą być sprzedawane i kupowane podług praw miejskich. Drugi warunek. Wspomniona długość w powyższy sposób odmierzona, ma się rozciągać od domu Stanisława Czapayki browarnika ku cerkwi ruskiej, nie zaś zwracać się ku miastu lub bramie i murom miejskim. Trzeci warunek. Miejsce i grunta, przez zburzenie zakupionych domów zamienione na gołą ziemię, mają być użyte na zbudowanie kościoła pod wezwaniem „Nawiedzenia Najświętszéj Panny Maryi" i klasztoru, nie zaś na wzniesienie jakichkolwiek innych świeckich budynków. Czwarty warunek. Ponieważ kamienica zwana Koralowska, położona przy ulicy szerokiej a nabyta tytułem kupna na użytek Ojców zakonników dla dogodniejszego przystępu i wyjścia z klasztora, przechodzi szerokością swoją inne sąsiednie domy, i wbrew należytemu porządkowi na ulicę publiczną się wysuwa; zatem ma być ten dom odchylony, ograniczony i wstecz cofnięty, i podobnie jak domy sąsiednie zrównany w prostej linii podług przepisanego porządku, z innymi domami uli-

occupent domosq(ue) in areas conuertendas coemant, neq(ue) plus fundi sibi vsurpent aut quouis modo sibi vindicare, praetendere et consignare audeant, aut quaq(ue) ratione, modo et mediis habere praesumant, quam qui datus, concessus, conscriptus, emensuratus et consignatus illis est.

cy szerokiej. Piąty warunek. Ażeby niedłuższe, nieszersze i nierozleglejsze miejsce na zbudowanie kościoła i klasztoru zajęli — i domy dó zwalenia zakupowali, ani też więcej gruntu sobie przywłaszczali lub w jakikolwiek sposób sobie przyznawać, rościć i wyznaczać sie ważyli, lub też jakimkolwiek tytułem lub sposobem i środkami posiąść zamierzali, nad ten, który im dany, przyzwolony, przepisany, wymierzony i wyznaczony jest.

(d. c. n.)

Spożycie ściśnionego powietrza.

Myślałby kto że powietrze do niczego, przymierzajac do korzyści jakie woda, ziemia i ogień w posłudze dóbr ziemskich wydają. Niema zatrudnienia, nie było wynalazku, zgoła niema tchu w życiu ludzkiem, by nie trąciły przyprawą trojga tych żywiołów: wody, ognia i ziemi. Z nich wszystko i na nich wszystko. A z powietrza co? żal się Boże że się żywiołem mieni, chyba, że nim dychamy aby w pożądliwościach umierać, bo zresztą pustota w niem nieznośna, korzyści zaś ledwo tyle, że praczkom bieliznę suszy. A że z niego próżniak wielki, więc pełen psoty, bo próżniactwo jest jak wiadomo początek wszelkiego złego; i z pustoty roztrąca okręty, wywraca domy, drzewa wykorzenia, przed niem nie utrzymać czapki na głowie, ani słabizny otulić, wszędzie się podbierze; roznieca pożary, sieje tumany piasku i prochu, roznosi miazma gnoju, smrodu, choróbska a nawet przy najspokojniejszem usposobieniu, zazdrośny sławy wysusza biurzyście i uczonemu w kałamarzu atrament.

Ale cierpliwości! stanęło i jemu przyciąć skrzydeł, zbarczyć jak strusia i zaprząc do warstatu by i z niego stał się użyteczny członek w państwie cywilizowanem. PP. Debain, Botton i Tellier, obmyślili sposoby na nie, i dopraszają się teraz u Prefekta departamentu Sekwany przywileju na ściśnione powietrze, by im wolno było zarządzać niem i rozprowadzać po Paryżu jak, gdzie i kiedy im się podoba.

Już-to od dawna umieli ludzie jakotako korzystać z sprężystości ściśnionego powietrza; my sami, dziećmi stroiliśmy pukawki, i ściśnionem powietrzem nieraz z dmuchawek strzelali grochem lub skutaszonym guzikiem na muchy; ale teraz ściśnione powietrze zewrą one Francuzy w wielkie rezerwoary, przeistoczą je w potężną siłę podpędną nakształt zwartej w maszynie pary, którą potem według upodobania rozprowadzać będą po całem mieście kurkami. Takim sposobem powietrze ujęte w pęta, wyręczać będzie ludzką pracę w niejednym przypadku. Zakład na nie utworzyli p. Debain i Comp. w Paryżu, a z ich szkoły wyjdzie powietrze, jak się spodziewać, maszynistą doskonałym, co nie jedną dawniejszą powetuje nam szkodę.

Szczegóły dzielności i posługi tego nowego maszynisty wypisuje prośba przedsiębierców do p. Prefekta. Ściskać będziemy, mówi, powietrze w odosobnionych za miastem zakładach, i rurami na wzór gazowych rozprowadzać po całem mieście pod użytek jak komu i gdzie potrzebą. W zastosowaniu zaś do potrzeb, będzie w tem korzyść, iż nie wymaga wielkich przyrządów, a czynić będzie profesyoniście posługi dzień i noc bez przerwy, bez najmniejszej przeszkody, niezawisle od cudzej woli, i bez przykrości dla sąsiada. Kto tej siły popędnej używać zechce, nie będzie potrzebował ani kotłów ogrzewać, ani się obawiać, że może nie starczy, jak to się często wydarza tam gdzie para posługuje. Słowem siła ściśnionego powietrza stanie się sprzętem domowym (sera domestiqué), zastąpi siłę roboczą sługi co zamiata, dźwiga, podnosi, bo kiedy wiemy jak wielka jest siła w ściśnionem powietrzu, mając naoczne dowody że skały pod nią pękają, łatwo ją będzie

można użyć w stosownym przyrządzie, że rozprowadzać będzie wodę po wszystkich piętrach i strychach, drwa nosić będzie, meble rozstawiać, nawet zastąpić zdoła nogi staruszkom, że sami nie będą potrzebowali po schodach łazić.

Więcej nad to, będą ludzie mieli ze ściśnionego powietrza jeszcze ożywczego wentilatora, bo stęzone ma w małej obfitości więcej tlenu czyli gazu kwasorodnego; puszczone zatem na ogień przysparzać będzie żaru, wypalać będzie spiesznie i ze szczętem węgiel i drzewo po piecach, kuźniach i warstatach gdzie palą, oszczędzi się zatem nie tylko paliwa, ale uniknie dymów, pary i swędu, co wszystko z niedopału, albo słabego żaru pochodzi, bo ognisko sycone silniejszem tleuem, zupełniej będzie się przetrawiało. Ta sama obfitość tlenu sprawi po miejscach co są przepełnione wyziewami zaraźliwemi, jak po szpitalach, fabrykach, przechodach, teatrach, klubach, i wszędzie gdzie się moc ludzi zgromadza, że się duszne i zabójcze oczyści powietrze, a w porach grasującej epidemii, kto wie, może i całe miasta dałyby się od morowej zarazy zachować. — Przy tem wszystkiem niebezpieczeństwa żadnego; industrya i przemysł umie już utworzyć przyrząd i rury, że wytrzymają ciśnienie i atmosfer dziesięciu; a chociażby i jaka tam rura pękła, szkoda nam samym przedsiębiercom a nikomu więcej. Dodamy, że opłata będzie bardzo małą, zwłaszcza, że materyał w komput nie wchodzi — powietrze jest wszędzie za darmo, sam tylko przyrząd kosztuje.“

To tedy są obietnice przedsiębierców — szczere, być może, ale nie mamy powodu w nie wierzyć.

Życie zwierzęce w najdalszych północnych kończynach Europy.

„Im bliżej przylądka między Parsanger- a Laxe Fiord — opowiada Bayard Taylor w swej podróży około przylądka północnego — tem stromiej piętrzą się skały w górę, a wyglądają jakoś potrzaskane i popękane jakby bezustannie biły w nie pioruny. Zrzucone burzą wierzchołki skał okalają stopy przylądku, a w swych kabłąkowatych zagięciach i wydrążeniach nastręczają pożądany przytułek niezliczonym milionom mew morskich.

Skała przy Swaerhalt-Club wygląda jak kupa gruzów z rozwalonej fortecy. Gładkie jakby ciosane ściany zdają się spoczywać na trzech ogromnych sklepieniach podpieranych mnóstwem pomniejszych skał. Rozliczne szpary i szczeliny w ścianach i skałach zdawały się niejako widocznemi uszkodzeniami strzałów, które całą fortecę roztrzaskały w gruzy. Tysiące białych mew, zgromadzonych już na nocny spoczynek wyzierały z każdej skałuby w skale, z każdej szczeliny w ścianach.

Zrobiliśmy przygotowania aby przerwać ich spoczynek, i w jednej chwili daliśmy ognia z armaty, wymierzonej ku głównej ścianie skały. Okropne echo, na niezliczone połamane tony, rozlegało się w oddali, a z niem jednocześnie ozwał się krzyk tak donośny i przerażający, że podziśdzień dźwięczy mi jeszcze w uszach.

Nad naszemi głowami zaszumiało coś jak powiew burzy. Gęsta biała chmura wzniosła się od skał a w jednem mgnieniu oka napełniło się powietrze ptactwem, że zupełnie ściemnił się widokrąg. Na drugi wystrzał nowy rozległ się wrzask i nowa gęstsza jeszcze niż pierwsza chmura wzbiła się w powietrze.

Pogłuchliśmy prawie z wrzasku i pisku jaki nas otaczał. Spłoszone ptactwo rozpostarło się istnem sklepieniem nad naszemi głowami, a całe stada jak gęste cętki śniegu spadały na wodę. Widok ten prawie przejmował zgrozą!

Niezliczone tysiące krążyły nad okrętem a jeszcze ogłuszające krzyki odzywały się od skał i coraz nowe nadciągały stada.“

Mały ten ustęp z dzieła znakomitego podróżnika daje najlepszy obraz zwierzęcego życia nawet w tych niedostępnych kończynach naszej części ziemi.

Furente Marte silent Musae — powiada starożytne przysłowie. To też nie dziwić się, że bieżąca literatura francuska tak skąpy w ubiegłych dwóch miesiącach wydała plon. Literatura piękna leżała prawie zupełnie odłogiem, a z dzieł naukowych te tylko wyszły na świat, których druk rozpoczął się jeszcze przed wybuchem wojny. Najobszerniejszą pracą tego rodzaju jest Rocznik literacki i dramatyczny pana Vapereau, autora *Powszechnego dykcyonarza spółczesnych*. Dzieło to należy do rzędu publikacyi encyklopedycznych, zaleca się jednak niezwykłym pomysłem i układem. Autor nie założył sobie nic innego, jak tylko wyliczyć w alfabetycznym porządku z krótkiemi objaśnieniami i komentarzami wszystkie zdania, myśli i pojęcia, ogłoszone drukiem w ciągu jednego roku w obrębie murów Paryża, który jak wiadomo skupia w sobie intellektualne promienie całej Francyi. Pracy takiej nie mogłyby podołać siły jednego człowieka. Aby zapuścić sondę w ten ocean dzieł rozlicznych, musiał sobie p. Vapereau dobrać kilka współpracowników i dopiero przy ich pomocy dokonał niełatwego zadania. Takiego Rocznika literackiego wychodzić będzie co rok jeden tom obszerny. — Ceniony wysoce *Powszechny słownik nauki i literatury* pana Bouillet doczekał się już czwartej edycyi w ciągu niespełna czterech lat. Powodzenie to odpowiada zupełnie wartości dzieła. Prócz mnóstwa not i objaśnień z rozmaitych gałęzi wiedzy ludzkiej, zawiera słownik p. Bouillet etymologie i tłumaczenie wszystkich wyrazów technicznych, przyjętych w francuskim języku, dalej krótką historyę każdej nauki, każdej sztuki i wreście wykaz dzieł napisanych w tym przedmiocie. — Ciekawą pod pewnym względem jest także książka p. Chenu, jednego z konserwatorów paryskiego muzeum historyi naturalnej. Nosi napis: *Manuel de Conchyliologie*, obejmuje wszystko, cokolwiek dotąd w różnych językach napisano o muszlach, a przedewszystkiem stara się przyjmując metodę Lamarcka wprowadzić prostszy i łatwiejszy system klasyfikowania konch. Ośm tysięcy rycin, po większej części kolorowanych, ułatwiają niezmiernie rozgatunkowywać pojedyńcze rodzaje i odróżniać szczególne znamiona charakterystyczne. — Jednocześnie doktor medycyny Felix Roubaud, redaktor wychodzącego w Paryżu pisma: *La France medicale*, wydał dzieło o wodach mineralnych we Francyi. W pracy tej rozbiera alfabetycznym porządkiem wszystkie źródła mineralne między Renem a Pyrenejami.

— Jeden z dzienników duńskich podaje ciekawe szczegóły co do liczby, stosunków religijnych i stanowiska społecznego skandynawskich wychodźców w Stanach zjednoczonych. W ogóle przybywa sto do dwóch kroć sto tysięcy Szwedów, Norwegów i Duńczyków w północnej Ameryce. Większa część z nich osiedliła się w Missouri, Jowie, Wisconsinie i w Minesota. Nigdzie prawie nie tworzą liczniejszych osad, żyją rozprószeni po rozmaitych okolicach i w przeważnej liczbie uprawiają ziemię. W jednym Chicago, tem największem dziś w świecie targowisku zbożowem, znajduje się około 10,000 wychodźców skandynawskich. Najwięcej pośród nich jak w całem ogóle wychodźtwie skandynawskiem jest Norwegów, nie tyle Szwedów a najmniej Duńczyków, których w Ameryce nie ma jak 1 do 5 tysięcy, odtrąciwszy oczywiście cztery, czy pięć tysięcy w pośród Mormonów w państwie Utah. Z domu wypędziły ich głównie klęski i niedola, to też nie wielu z nich lgnie wspomnieniem do rodzinnego języka, ojczystych stron i obyczajów; wszyscy bardzo prędko zlewają się z anglo-amerykańskiemi plemionami. Po krótkiem pobycie w Ameryce wychodźca skandynawski nie rad już mówi językiem ojczystym i jak może pomaga sobie łamaną angielszczyzna. Dziewczęta norwegskie uchodzą za najlepsze sługi, a jak tylko kilka lat posłuży która w amerykańskim domu, odrzuca ze wzgardą oświadczenie miłosne w rodzinnym języku. Dzieci skandynawskich emigrantów poczytują język angielski za daleko szlachetniejszy niż narzecze rodziców, którego się wstydzą i wystrzegają w mowie. Druga generacya wynaradawia się zupełnie i pogardza każdym, kto nie należy do anglo-amerykańskiej rasy. Lubo jednak tak wielką do języka angielskiego czują skłonność i tak go się pospiesznie wyuczają, przychodzi im przytrudno czytywać po angielsku. To też w zachodnich stronach północnej Ameryki wychodzi kilkanaście dzienników po większej części w języku duńskim, obliczonych jedynie na wychodźców skandynawskich. Prawie nigdy nie słychać, aby który z wychodźców skandynawskich, dorobiwszy się majątku w nowym świecie, wracał do dawnej ojczyzny w grono dawnych znajomych i przyjaciół.

— Do szczupłej u nas liczby oryginalnych dzieł medycznych przybyła świeżo obszerna rozprawa dra Ludwika Góreckiego, wydana w Kijowie nakładem Leona Idzikowskiego pod napisem: „O fizycznych przyczynach tworzenia się w płucach rzężenia trzeszczącego (rhoncus crepitans).

Główny Redaktor **M. Szrzeniawa Sartyni.**

Z c. k. galicyjskiej drukarni rządowej.